

A close-up photograph of a yellow flower with dark red or brown markings on its petals, set against a blurred background of similar flowers and green foliage.

moja Lesznowola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 lipiec/sierpień 2017, nr 14/15



Gmina w obiektywie

Były wygodne leżaki, obowiązkowy popcorn, napoje i świeże powietrze. Kino letnie nad stawem w Mysiadle licznie odwiedzili kinomani.



Klub Kobiet „Panie przodem” i GOK w Lesznowoli, organizatorzy filmowego wieczoru, otrzymali w podziękowaniu od kinomanów zasłużone brawa.



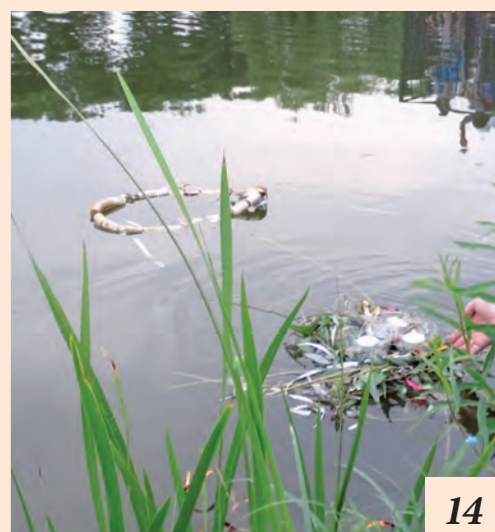
7



36



28



14



41

Spis treści

6 Od Redakcji

7 Kim jestem?

...w pewnym momencie stwierdziłam, że nawet nie zdążyłam odkryć, kim jestem

14 Wiła wianki i rzucała je do wody...

...pełne zapалу panie z sołectwa Mysiadło nie kryły zadowolenia

16 Robię swoje

...po zakończeniu szkoły i rozdaniu świadectw odkłada telefon i przepada

21 Tego nie da się kupić

...jeden człowiek z dala od boiska zajmował się czym innym

26 Czasem słońce, czasem deszcz

...i było tak, jak w indyjskim przeboju kinowym

28 Historia pewnego Stefana

...zawsze był niepokorny i chciał być wolny jak mustang

34 Ostatnia msza

...drugiego lipca po raz ostatni jako proboszcz odprawił mszę dziękczynną

36 Taaaka ryba

...największe ryby to te, które urywają się z haczyka, nim je wędkarz zobaczy

41 Szczęśliwy Frankfurt

...w tej sztuce mieszkaniac naszej gminy był drugi w Europie

44 Salomonowa mądrość

...żeby umiała rozróżniać dobro i zło

46 Garażówka pełna skarbów

...tu możesz sprzedać lub wymienić wszystko

48 Pan pomidor

...nie ma nic lepszego niż świeża bagietka z masłem i pachnący, dojrzały pomidor



16



21



34



Od Redakcji

Mamy wakacje. Część kandydatów do przedstawienia w „mojej Lesznowoli” wyjechała, wielu Czytelników odpoczywa lub udaje się na urlop. Postanowiliśmy zatem wydać jeden wakacyjny, lipcowo-sierpniowy numer, nadrobić zaległości w pracach domowych i odpocząć.

To wydanie „mojej Lesznowoli” zaczynamy tekstem, który powinien stać się lekturą obowiązkową dla wszystkich naszych Czytelniczek. Jesteśmy bowiem pewni, że wiele z nich zastanawia się nad swoim życiem i zadaje sobie to samo pytanie, jakie zadała sobie bohaterka tekstu: „Kim jestem?”. Ona odpowiedź znalazła.

Ponieważ zaczęły się wakacje, rozmawialiśmy z dyrektorem Zespołu Szkół Publicznych w Lesznowoli. Pana dyrektora ogromna większość mieszkańców naszej gminy zna, ale właśnie jako dyrektora szkoły. A jako sąsiada?

W Podolszynie odwiedziliśmy społecznika, który ma swój udział w powstaniu każdego boiska w naszej gminie. Był rolnikiem, sportowcem, strażakiem i radnym. Jest przekonany, że społecznikowskiej pasji nie można ani się nauczyć, ani kupić.

Dwa lżejsze teksty są typową wakacyjną lekturą. Opowiadają o pasji wędkowania i wielkim sercu małej Oli z Łozisk.

Ponadto proponujemy krótkie relacje z wianków i kina letniego w Mysiadle, uroczystego 90-lecia OSP w Nowej Woli, święta policji, pożegnania proboszcza parafii w Mrokwie, „garażówki” w Nowej Iwicznej i mistrzostw Europy w Kyudo.

W kuchni króluje „Pan pomidor”.

Miłej lektury i wakacyjnego wypoczynku.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski

OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk

ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska

DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2

KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

fot. z archiwum prywatnego Mai Troszkiewicz

Kim jestem?



– Uniwersytet Trzeciego Wieku to wspaniały wynalazek. To szansa wyjścia na zewnątrz, poznania nowych, bardzo ciekawych ludzi. Osobom, które chodzą na zajęcia uniwersytetu, zależy na rozwoju, na tym, żeby coś nowego poznać, czegoś się uczyć. Są ciekawe świata i chcą jeszcze coś w życiu zrobić – tak mówi Maja Troszkiewicz, której zajęcia na UTW odmieniły życie.



Był czas, kiedy życie pani Mai układało się tak, jak życie wielu wykształconych kobiet. Skończyła studia na SGPiS i została panią domu. Zajmowała się wychowaniem dzieci, domem, psami, które w domu się znalazły, robiła zakupy. Potem dzieci dorastały, więc przybyły jej jeszcze inne obowiązki. Wożenie ich do szkoły i na dodatkowe zajęcia do Warszawy. Do obowiązków pani domu doszła uciążliwa i czasochłonna rola domowego kierowcy.

Coraz mniej było czasu na spotkania z przyjaciółkami, coraz luźniejsze stawały się więzi towarzyskie.

– Dzieci zaczęły mieć swoje życie: studia, później rodziny, więc stwierdziłam, że jakoś tak zrobiło się nudno i w zasadzie to ja tu, w Magdalence, nikogo nie znam. Sąsiadów na ulicy mamy bardzo niewielu, więc mówię: „Muszę się rozejrzeć i zobaczyć, co się tutaj dzieje ciekawego”. Tym bardziej, że dzieci wyszły z domu i zrobiło się pusto.

Zacząłam się nad sobą zastanawiać. Młodość upłynęła szybko i pracowicie, lata dojrzałe również, i w pewnym momencie stwierdziłam, że nawet nie zdążyłam odkryć, kim jestem.

Coś mnie goni

– Kiedy dzieci wyszły z domu, rozpoczęłam nowy etap w swoim życiu. Uważam, że wiek, w którym człowiek już nie pracuje, daje dużo możliwości i wiele życiowych podniet. Można sobie świetnie ułożyć życie, jeżeli człowiek znajdzie pasję. Niektórzy może lubią siedzieć w domu, sprzątać, gotować. Ja już nie lubię. Mam dzień tak zaplanowany, że jedno się kończy, drugie zaczyna. Do domu przychodzę tylko spać. Jestem spod znaku Strzelca i podobno Strzelec tak ma, że goni go w świat. Ja też tak mam.

Dowiedziałam się, że w naszym Gminnym Ośrodku Kultury funkcjonuje Uniwersytet Trzeciego Wieku i któregoś pięknego dnia się zapisa-

łam. To było 10 lat temu. Oprócz wykładów proponowano różne zajęcia: tańce ludowe, śpiewy, malowanie. A ponieważ jestem chętna do wszystkiego, bo i tańczę, i śpiewam, o malowaniu jeszcze wtedy nie myślałam, bardzo mi to odpowiadało.

Naszą instruktorką była pani Magda Świderek. Stworzyła chór i zaczęłyśmy śpiewać. Ponieważ mam dar do wymyślania nazw, zaproponowałam, by chór nazywał się Oktawa. Było nas osiem, więc moja propozycja została zaaprobowana.

Mamy bardzo ambitny repertuar. Śpiewamy pieśni patriotyczne, kościelne, ale też piosenki z okresu Powstania Warszawskiego i pieśni odnalezione przez Kolberga. Śpiewamy również po łacinie, po angielsku i niemiecku.

To jest mały chór, mimo to śpiewamy na trzy głosy i w dodatku a capella, co jest bardzo trudne, bo nie mamy nikogo, kto by nas wspierał jakimś instrumentem. Większość z nas to naturszczyki. Tylko Basia



Chojnacka grała na pianinie, Ala Marczuk miała przygodę z muzyką, no i oczywiście przygotowanie muzyczne ma Magda Świderek, która jest naszą maistrą.

Zawsze się śmieję, gdy mówią: „Uczcie się nut, uczcie się nut”. A ja mówię: „Wiesz co Magda, przypuszczam, że muzyka ma coś wspólnego z matematyką, a ja z matematyką byłam zawsze na bakier”. Ja tak jak w średniowieczu, widzę tylko, że coś się wznosi i opada. A ten B-mol i następny chyba Cis, to ja to wolę na słuch wziąć.

Śpiewamy w różnych miejscach, uświetniamy różne wydarzenia, które są na terenie gminy. W czasie Bożego Narodzenia śpiewamy w kościołach, na wigilii Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Śpiewamy też 28 maja w lesie, kiedy jest msza upamiętniająca rozstrzelanie więźniów z Pawiaka.

Śpiewamy z wielką przyjemnością w Domu Pomocy Społecznej w Nowej Woli. Byłyśmy tam z pie-

śniami adwentowymi, wielkopostnymi i z kolędami. Ludzie przyjmują nas z wielkim wzruszeniem.

Bierzemy udział w przeglądach organizowanych dla Uniwersytetów Trzeciego Wieku albo w senioraliach. Tylko zauważyłyśmy ze smutkiem, że tam jest nagradzany inny niż nasz repertuar. Trzeba podnieść spódniczkę, pokazywać kolanka albo śpiewać przasne przyśpiewki weselne typu: „Kiwa mu się kapelusz na głowie”.

Nasz repertuar jest inny, ale robimy swoje. Magda stara się, żeby to, co śpiewamy było wartościowe, żeby coś przekazać ludziom.

Spotykamy się raz w tygodniu. Dawniej kobiety spotykały się na darcie pierza i to nasze spotkanie jest zamiast darcia pierza. Bo to nie jest tak, że od razu śpiewamy. Zawsze któraś coś smacznego przyniesie. Więc najpierw jest herbatka i to coś. To coś jest przasne, a jak jest przerwa, to idziemy w słodkie.

Najpierw musimy porozmawiać o tym, co się przez cały tydzień działo.

**...wiek, w którym
człowiek już
nie pracuje, daje
dużo możliwości
i dużo życiowych
podniet.**

To jest bardzo dobre dla kobiet, bo potrzebujemy się wygadać. Poza tym przyjaźnimy się. Między nami zawiązała się przyjaźń, więc się wspieramy.

Moje malowanie

– Jak już zostałam słuchaczką UTW, to zaczęłam chodzić do pani Uli Słowińskiej na zajęcia z malarstwa. Pani Ula była cudowna. Brakuje mi dla niej słów uznania. Ona nie jest stąd. Mieszka na Ursynowie, a do GOK przyjeżdżała na zajęcia. To jest osoba, która wszystko potrafi, a jak nie potrafi, to się sama nauczy, żeby przekazać.

Zacząłyśmy tak, jak na Akademii Sztuk Pięknych. Od gliny i od anioła, który wisi u mnie w kuchni. To było moje pierwsze dzieło.

Pani Ula narysowała nam kółko, dwa skrzydełka, loczki, oczka i mówi, że będziemy robiły płasko-rzeźbę: „Z gliny sobie ulepicie na tym rysunku, później nadacie jej kształt”.



O co jej chodziło? O to, że pierwsza nasza praca miała pokazać, że jak będziemy już malować, to wszystko jest przestrzenne. To nie jest coś płaskiego jak wzór na ceratę, tylko przestrzenne. Chciała nas przyzwyczaić do tego, że wszystko jest trójwymiarowe.

Z tym aniołem było dużo zamieszania i śmiechu. Trzeba było zrobić formę, zalać gipsem, potem szlakiem wysmarować. Potem znowu zalać formę gipsem. Nauczyliśmy się, co to są kąty ujemne. Trzeba było tak tę rzeźbę zrobić, żeby można ją było z formy wyjąć. Potem nastąpił poród prac, który lekki nie był. Takie nam wyszły koszmary, że coś straszno.

„Nic się, panie, nie martwicie” – powiedziała pani Ula, widząc nasze dzieła. „Weźmiemy dłutka, pilniczki i wyrzeźbimy”.

I rzeczywiście. Byłam zdumiona, jak mi ten anioł pięknie wyszedł. I to była nasza pierwsza praca. A potem... no, po prostu wszystko. I rysunek, i akwarele, i olejne farby, i decoupage, i malowanie na jedwabiu, i batik. Przeróżne techniki.

Tyle tego robiłyśmy, że co roku przed Bożym Narodzeniem odbywały się kiermasze i bardzo dużo naszych dzieł ludzie kupowali. Robiłyśmy bombki na choinkę i jajka na Wielkanoc. Później pani Ula, ze względu na zdrowie, musiała zrezygnować i teraz swoją malarską

przygodę kontynuuję u pana Janka Drawicza.

Kiedyś byliśmy z Uniwersyte-tem Trzeciego Wieku na Zamku Królewskim, na jakimś wykładzie. Zobaczyłam karteczkę, że są zajęcia plastyczne prowadzone w Pałacu pod Błachą przez pana Lecha Żurkowskiego. Poszłam zobaczyć i zostałam.

To są bardzo fajne zajęcia, trochę inaczej prowadzone niż te, na które chodziłam do tej pory. Najpierw zawsze jest pokaz slajdów, które są szczegółowo omawiane, a później malujemy. Tam spotkałam się z grafiką i po raz pierwszy z modelem, bo u nas w gminie nie ma takich możliwości.

Chodzę również na zajęcia plastyczne na Rynek Starego Miasta do pana Bartka Gerłowskiego. Tam też mamy prace z modelem i jesteśmy bardziej nastawieni na martwą naturę. Z wszystkich tych miejsc jeżdżę też na plenery. Uwielbiam je.

Życie na plenerach jest tak różne od codzienności. Człowiek się wyłącza z tych wszystkich spraw domowych, odcina od problemów i poświęca czas i emocje tylko sztuce. Wieczorem jest korekta tego, co zostało namalowane. Można sobie popatrzeć, kto jak malował, posłuchać uwag wykładowców. To jest bardzo ciekawe, rozwijające i fajne. Już nie wspomnę o wieczorach, które są naprawdę przyjemne.



Za kilka dni znowu jadę na plener. Malarstwo ma wśród moich zajęć priorytet, bo ono zajmuje dużo czasu. Nie może być tak, że jak mam dwie godziny, to maluję. Nie, to jest całe przygotowanie. Inaczej się maluje malarstwo przedstawiające, a inaczej abstrakcję. Malarstwo przedstawiające to takie, kiedy idzie się w plener, patrzy i coś odtwarza. Natomiast malarstwo abstrakcyjne jest czymś zupełnie innym.

Abstrakcja to odkrycie, które poczyniłam na studiach. Muszę przyznać, że jestem bardzo w tej chwili na to nakręcona. W lutym ściągnęłam sobie kurs, który organizuje MOMA (Museum of Modern Art) w Nowym Jorku. Kurs trwał osiem tygodni i polegał na tym, że każdego tygodnia byli przedstawiani inni malarze, ich życie, kariera, twórczość (wszystko po angielsku) i później trzeba było namalować obraz, posługując się ich techniką. Każdy tydzień kończył się testem.

Było dziesięć pytań i żeby zaliczyć, trzeba było na osiem odpowiedzieć. Było też forum dyskusyjne, gdzie można się było podzielić wrażeniami. To jest o tyle ciekawe, że poznaje się sposób malowania malarzy abstrakcjonistów. Każdy z nich jest inny i każdy ma coś dla siebie charakterystycznego.

Na przykład Ad Reinhard, amerykański artysta, który w latach



1950–1953 pracował nad serią obrazów czerwono-niebieskich w bardzo zbliżonej do siebie kolorystyce. On od razu zaczął od abstrakcji. Zaczął od kolorowej, a skończył na serii czarnych obrazów.

Ja też namalowałam obraz w tym stylu. Nie było łatwo. Trzeba było w trzech słoikach rozrobić czarną farbę. Do jednego dodać trochę czerwonej, do drugiego zielonej, a do trzeciego niebieskiej. Na tydzień zalać wszystkie rozpuszczalnikiem, żeby tłuste frakcje się oddzieliły, i żeby farba była sucha. Potem trzeba było to zlewać i malować mazią, która została. Wydaje się, że powstał czarny obraz, ale jak się stanie i zacznie przyglądać pod różnym kątem, to ten obraz dopiero zaczyna emanować kolorem.

Albo Yayoi Kusama, japońska rzeźbiarka, malarka, pisarka. Niezwykła artystka, która nadal żyje i tworzy. Miała wystawę w MOMA, którą obejrzały miliony osób. To jest artystka, która cierpi na chorobę psychiczną, mieszka w szpitalu psychiatrycznym w Japonii i od dziecka ma różne wizje, które przetwarza na obrazy. Typowym dla niej symbolem jest kropka, która pokazuje jej samotność i zawieszenie w przestrzeni. Wszystko, co robi, opiera

właśnie na zasadzie powtarzalności ruchów i powtarzalności symboli. Gdy była dzieckiem, śniły jej się dynie, które do niej przemawiały, i robi te dynie, i rzeźby, i maluje w kropki. A potem te złote dynie w czarne kropki ustawia w lustrzanych pokojach multiplikujących ten obraz i to jest coś niezwykłego. Bo jak się wchodzi do tego pokoju, to człowiek się czuje jak w niebiańskim polu dyń. I to jeszcze się odbija w suficie. Yayoi Kusama robi różne rzeczy, które pomagają jej przezwyciężyć lęki i fobie.

Każdego z tych malarzy musiałam rozpracować, poznać i wszystkie te obrazy namalować. Kiedy mam na to wszystko czas? Zawsze muszę go znaleźć.

A co poza tym? Lubię podróże ze sztuką, które organizuje historyk, pan Przemysław Głowacki, razem z panią Moniką Wałkowską. Na te wyprawy jadą tylko ludzie związani ze sztuką albo nią zainteresowani. To są fantastyczne wycieczki. Wsiada się nocą w autokar po to, żeby dojechać do granicy. Po polskiej stronie jest śniadanie, a potem w autokarze wykład. Przygotowanie do tego, co będziemy zwiedzać.

Nie jeździmy tylko po wielkich muzeach, ale też tam, gdzie są bardzo ciekawe wystawy, które znajdują



się w jakiejś wsi zabitej dechami, gdzie kukurydza rośnie, tak jak to było ostatnio, gdy byliśmy w Szwajcarii. Tam są fundacje, które budują wille na wsiach – wille-muzea, gdzie są eksponowane ogromnej wartości obrazy, które ciężko byłoby w inny sposób zobaczyć. W wielkich miastach mamy czas na zwiedzanie, na chwilę dla siebie, ale wszystko jest tak zorganizowane, że dostajemy przede wszystkim mnóstwo informacji o tym, co będziemy oglądać. W autokarze są wyświetlane filmy. Cały czas żyje się sztuką.

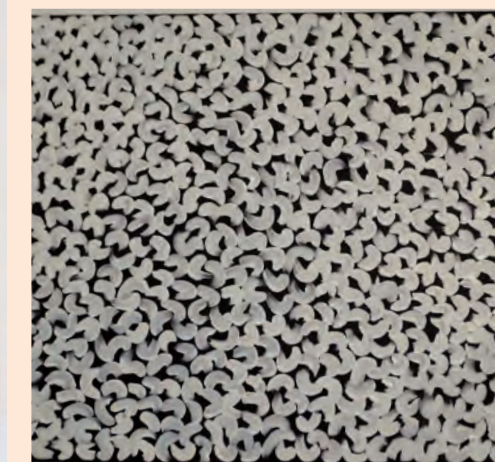
Pokonywanie ściany

– Po jednej z takich podróży doznałam olśnienia. Może powinnam zrobić coś z tym moim malowaniem, bo poczułam się tak, jakbym doszła do ściany? Zapisalam się na studia podyplomowe w Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi. Jeździłam tam co dwa tygodnie na sobotę i niedzielę, żeby pod okiem profesorów zdobywać wiedzę i uczyć się nowych rzeczy. To było niesamowite, wspaniałe. Najlepsza rzecz, jaką mogłam dla siebie zrobić.

Zdołałam dużo wiedzy, o której nie miałam pojęcia. Uwrażliwiłam się jeszcze bardziej na sztukę, na



*...ja muszę coś organizować,
bo coś mnie nakręca.*



sposób postrzegania świata i poznałam bardzo wartościowych ludzi. Wspaniałe było grono profesorów i zawiązała się przyjaźń między uczestnikami. A ponieważ ja muszę coś organizować, bo coś mnie nakręca, zaczęliśmy rozmawiać, czy nie byłoby dobrze stworzyć jakąś grupę artystyczną, bo szkoda byłoby tego naszego zapału, wiedzy i malowania.

Na studiach był duży przekrój wiekowy. Byli ludzie, którzy dopiero skończyli studia, tacy, którzy mają małe dzieci, i tacy, którzy są dojrzały. I ci wszyscy ludzie potrafili stworzyć grupę, którą nazwałam ASPEKT. Dlaczego ASPEKT? Bo chciałam, żeby nazwa zawierała ASP, a aspekt, żeby pokazać naszą różnorodność. Różnorodność w ujęciu tematu,

a potem w jego przedstawieniu na obrazie.

W czerwcu 2016 roku kończyliśmy studia i dwa tygodnie przed rozdaniem dyplomów stwierdziliśmy, że zawiązujemy grupę. Była tylko nazwa.

Poszliśmy OFF Piotrkowską, najmodniejszym miejscem na kulturalnej mapie Łodzi. Weszłam do jakiegoś butik i dogadałam się z właścicielką, że gdy będzie nam się kończyła wystawa podyplomowa, to przerzucimy ją do OFF Galerii na Piotrkowską. Udało się. Trzeba było zrobić logo, zaproszenia, plakaty. Znowu na mnie trafiło. Dałam radę i była bardzo fajna wystawa, w takim postindustrialnym wnętrzu.

Potem pojechaliśmy na plener i mieliśmy wystawę w bibliotece na

Czerniakowskiej pt. „Macierzyństwo i Rodzina”. Jako grupa wystawialiśmy się też w Gminie, w GOK-u w Starej Iwicznej na wystawie „Kobiece czasoprzestrzenie”, była też wystawa „Salvador Dali moją inspiracją”.

Czy wspominałam, że uwielbiam uczyć się obcych języków? Znam rosyjski i angielski. Zauroczył mnie francuski, więc mówię: „No nie, muszę się tego francuskiego nauczyć”. Później uczyłam się hiszpańskiego i niemieckiego. Niemiecki skończyłam trzy lata temu i teraz odświeżam angielski.

Już nie zastanawiam się nad sobą. Nie mam na to czasu. Wiem, kim jestem i co chcę robić. ■

Wita wianki i rzucata je do wody...

Zanim na stawie w Mysiadle pojawiły się wianki, najpierw wypłynęły kolorowe kajaki. Z perspektywy wody lepiej było widać rosnący tłum i słycać kolejnych artystów. Tegoroczna impreza nie wyglądała tak, jak w roku ubiegłym, bo okolice stawu od tamtej pory bardzo się zmieniły. Są wybrukowane alejki, są latarnie i stoły do gry w szachy.

W nowej aranżacji zabawa rozkręcała się z każdą godziną. Nacięte wierzbowe witki piętrzyły się obok kolorowych wstążek. Zasada „zrób to sam” obowiązywała każdego, kto chciał wieczorową porą puścić na wodę swój wianek. Chętnych nie brakowało. Dla wszystkich, których trud wyplatania wycieńczył fizycznie, czekało rozpalone ognisko i kilogramy kiełbasek. Kolejka po kulinarny niezbędnik wyla się nie mając końca, a pełne zapалу panie z sołectwa Mysiadło i z Klubu Kobiet „Panie przodem” nie kryły zadowolenia, że choć zapasy znikają w oka mgnieniu, to dla wszystkich starcza.



Na scenie odbywały się występy bardzo młodych artystów, którzy dopiero odkrywają muzyczne zawiłości i tych nieco starszych, którzy o granie wiedzą już bardzo dużo. Odważniejsi mogli spróbować swoich tanecznych możliwości w rytm gorącej ZUMBY, inni po prostu pospacerować między kolorowymi straganami.

Wieczorem, kiedy zapadający zmrok stworzył odpowiedni nastrój, na wody stawu popłynęły wianki. Jakie wróżby przyniosły swoim właścicielom, nie wiemy, ale wiemy, że wyglądały pięknie.

Wiankowy wieczór nad stawem w Mysiadle odbył się po raz drugi i miejmy nadzieję, że powoli stanie się tradycją, która gromadzi ludzi wokół prostego pomysłu na wspólne spędzenie czasu. ■





Robię swoje

Z dyrektorem Zespołu Szkół Publicznych im. Noblistów Polskich w Lesznówoli próbowaliśmy umówić się na rozmowę przed końcem roku szkolnego. Bogumił Pałczak zgodził się na spotkanie pod warunkiem, że odbędzie się ono w pierwszych dniach lipca. Po zakończeniu szkoły i rozdaniu świadectw odkłada bowiem telefon i przepada. Musi się „zresetować”. Reset tradycyjnie trwa tydzień.

Kiedy na początku tego roku rozmawialiśmy z Katarzyną Radziejewicz, mistrzynią Polski w szachach („Króla i hetmana nie oddam” – „moja Lesznówola” nr 11), wspominając początki swojej szachowej przygody, mówiła o dyrektorce.

„Od początku mojej kariery szachowej reprezentowałam Ludowy Uczniowski Klub Sportowy, czyli „LUKS SET Lesznówola”, którego współzałożycielami byli moi rodzice oraz dyrektor ZSP Lesznówola, pan Bogumił Pałczak.

Pamiętam, że jak jeździłyśmy z moją przyjaciółką Olą i dyrektorem szkoły w Lesznówoli na mistrzostwa Polski, które jakimś trafem zawsze były w zimie i nad morzem, to przed partią obowiązkowy był spacer nad morzem i różne techniki relaksu, żeby dotlenić mózg...”

Po tej rozmowie postanowiliśmy poznać pana dyrektora, bo w naszej gminie pokolenie czterdziestolatków i młodszych, to są wszystko jego uczniowie. Ogromna rzesza ludzi, których zna. Ale czy oni znają dyrektora? Nie jako nauczyciela, dyrektora szkoły, tylko sąsiada?

Reset pana dyrektora

Spotykamy się zgodnie z umową trzeciego lipca. Pan dyrektor jest w szkole. Zaczynamy rozmowę od tego, czy reset się udał i na czym on polega.

– Pojechałem z żoną, która też jest nauczycielką, w piękne okolice Sierpca. Nad Jezioro Urszulewskie. Tam mamy domek, w którym się zamykam. Nie można się do mnie dodzwonić, nie ma internetu, bo nie ma zasięgu, dookoła piękne lasy i piękne połodowcowe jezioro.

Zbieram grzyby i majstruję przy domu. Ciągłe coś ulepszam, poprawiam, powiększam. Słowem, rozbudowuję. Przy grubszych robotach pomaga mi syn.

Nie chwaląc się, potrafię wszystko zrobić sam. Uwielbiam wszelkie prace ciesielskie i budowlane. Robić w drewnie nauczył mnie ojciec. Sam układam płytki i to jest dla mnie taki reset, że lepszego mi nie potrzeba. Człowiek o niczym nie myśli, tylko koncentruje się na tej pracy.

Domek mamy na polanie otoczonej lasami i ten las ciągnie jak magnes. Od 2010 roku to jest nasz sposób na wypoczynek, na kompletny reset i ładowanie akumulatorów.

Hektarową działkę nad jeziorem kupiliśmy razem z innymi nauczycielami z naszej szkoły. Podzieliliśmy ją na mniejsze działki i wspólnie zaczęliśmy działać. Każdy umiał coś zrobić. Kupiliśmy gotowe domki kanadyjskie do urządzenia w środku i zaczęła się cudowna zabawa.

Proszę mi wierzyć, że tam w lesie i nad jeziorem, mimo że dookoła są znajomi ze szkoły, nigdy nie rozmawiamy o pracy. Szkoła i praca to tematy zakazane. Skupiamy się na lesie, chodzimy na grzyby, podziwiamy przyrodę, urządzamy kilkukilometrowe wędrówki historyczne i prowadzimy zdrowy tryb życia. To trochę taki powrót do czasów dzieciństwa.

fot. z archiwum prywatnego Bogumiła Pałczaka



*...to jest nasz sposób
na wypoczynek,
na kompletny reset.*

Nie ukrywam, że sporo pieniędzy już włożyliśmy w ten nasz domek, a ciągle jeszcze coś poprawiamy i modernizujemy. Za te pieniądze można by było wyjeżdżać gdzieś na zagraniczne wczasy, wycieczki, ale ponieważ majsterkowanie, budowanie jest moją bezcenną receptą na reset, wolę w ten sposób spędzać czas.

Z Roztocza na Mazowsze

Roztocze to przepiękna kraina, która łączy Wyżynę Lubelską z Podolem. Gęste lasy, rzadka zabudowa, cisza i kontakt z naturą. Stamtąd pochodzi Bogumił Pałczak.

– Urodziłem się w Hucie Różanieckiej w okolicach Suśca, do którego na wypoczynek przyjeżdżali mieszkańcy Zamościa. Czas do matury spędziłem w Lubaczowie, mieście położonym na Płaskowyżu Tarnogrodzkim u ujścia rzeczki Sołotwy do Lubaczówki. Blisko granicy z Ukrainą.

Studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Geografii i Studiów Regionalnych. Na studiach poznałem żonę. Tak jak ja jest z wykształcenia geografem. Podczas studiów mieszkałem w akademiku na Żwirki i Wigury. To był fantastyczny czas. Od 1982 roku jestem związany z Mazowszem.

*...nasze dziewczęta
gromiły w województwie
większość drużyn.*



Studia skończyłem w 1988 roku i wylądowałem w wojsku. To był ostatni rocznik, który po studiach musiał odbyć służbę wojskową. Ożeniłem się i w 1989 roku szukałem pracy.

Znalazłem ją w Lesznowoli. Inspektorem oświaty w Lesznowoli był wtedy fantastyczny człowiek, Władysław Włodarczyk. Zatrudnił mnie jako nauczyciela geografii.

Do 1995 roku pracowałem jako nauczyciel. Mieszkaaliśmy w Domu Nauczyciela w Mrokowie. Ja dojeżdżałem do Lesznowoli, żona uczyła w Mrokowie. Ten Dom Nauczyciela przypominał trochę akademik, bo wszyscy mieszkańcy byli z jednego rocznika. Z 1963 roku. W Mrokowie urodził się nasz syn Tomek, a Ola cztery lata wcześniej w Warszawie.

W 1995 roku był konkurs na dyrektora szkoły w Lesznowoli i w tym konkursie wziąłem udział. Okazał się dla mnie szczęśliwy i od tego roku do dziś jestem dyrektorem szkoły. To już dwadzieścia dwa lata. Przeprowadziliśmy się do służbowego mieszkania w szkole i staliśmy się mieszkańcami Lesznowoli. To były lata, kiedy trudno było o nauczycieli. To był zawód jeszcze deficytowy, więc żona dostała służbowe przeniesienie do Lesznowoli i do dziś jesteśmy nauczycielskim małżeństwem związanym z tą szkołą.

Przygoda ze sportem

– Rzeczywiście jest tak, że młodzież, ale też dyrektor Centrum Sportu w Lesznowoli Rafał Skorek, moje nazwisko łączy ze sportem. Różne dyscypliny sportowe uprawiałem jako młody człowiek, ale kiedy trafiłem do Lesznowoli i zostałem dyrektorem, zaczęła się moja przygoda z siatkówką. Zaprzyjaźniłem się z tutejszymi nauczycielami wychowania fizycznego, z małżeństwem Radziejewiczów, Andrzejem i Iwoną. Tak naprawdę oni wciągnęli mnie w to sportowe życie. Zaczęło się, pamiętam od jakiegoś obozu, na który pojechałem jako opiekun. Bardzo mi się to spodobało, a że w liceum grałem w siatkówkę i byłem wystawiającym, zacząłem panią Iwonę wspierać na zajęciach, będąc takim trenerskim samoukiem. Po kilku latach mieliśmy w dziewczęcej siatkówce spore sukcesy. Nasze dziewczęta gromiły w województwie większość drużyn. Potem doszły zajęcia z chłopcami. Szkoła się rozrastała. Przez dziesięć lat zajmowałem się sportem, ale kiedy w 2006 roku moja córka kończyła szkołę, powiedziałem sobie, że już czas, aby ustąpić miejsca innym.

Muszę wspomnieć koniecznie o sekcji szachowej, którą się opiekowałem. Grała w niej i wspomniana Kasia Radziejewicz, i moja córka, i spora grupa innych dzieci. Zainteresowanie tym ekskluzywnym sportem było na

tyle spore, że w szkole powstała sekcja szachowa. Wtedy też powstał klub LUKS SET Lesznowola, w którym była sekcja siatkówki dla starszej młodzieży i sekcja szachowa dla maluchów. W szachach nasze dziewczyny również odnosiły spore sukcesy. Kasia była wielokrotną mistrzynią Polski w różnych kategoriach wiekowych.

To wszystko ma swoją kontynuację także dzisiaj, bo w szkole, ale też w gminie, bardzo stawiamy na sport. W tamtych czasach w wynikach nauczania szkoła była placówką przeciętną. Wygrywaliśmy jakieś konkursy przedmiotowe, mieliśmy niezłe wyniki na egzaminach, ale naszą siłą był sport. Szkoła miała sportowe sukcesy. Zdobywaliśmy tytuły mistrzowskie na wojewódzkich zawodach LZS-ów. Zawsze byliśmy w czołówce. Pamiętam zwycięstwo naszych dziewczyn w międzypowiatowych zawodach z renomowaną drużyną Legionowa. Wygrać z profesjonalną Legionową to było coś, a jednak dziewczyny wygrały.

Zdobywaliśmy puchary, które do dziś stoją dumnie w gablotach szkoły. Sport był wizytówką Lesznowoli. Dlatego też pani wójt podjęła decyzję, że w naszej szkole powstanie lepsza baza sportowa.

Został zbudowany stadion sportowy, który do dziś jest jednym z większych stadionów. Zresztą obiektów sportowych mogą nam pozazdrościć inne gminy w Polsce.





...w pracy najważniejszy jest klimat.

Wystarczy wspomnieć obiekty w Mrokowie czy Mysiadle. Zatrudniając nauczycieli, patrzyłem trochę na ich kwalifikacje również pod kątem predyspozycji sportowych. Zaczęliśmy się specjalizować, wiedząc, że możemy naszą młodzież wyszkolić na przyzwoitym poziomie.

Bardzo pomagał nam w tym klub, który nie był skażony komercją, lecz był klubem wspomagającym rozwój sportu w szkole. W naszej gminie bardzo wielu ludzi uprawia sport i ma gdzie to robić.

Ponieważ było ogromne zainteresowanie piłką nożną, zatrudniliśmy trenerów i zaczęliśmy rozwijać i tę dyscyplinę sportową. Nie wspominam o lekkoatletyce, bo ta była u nas doceniana od zawsze.

Poza sportem interesują mnie w kontekście historycznym sprawy polityczno-społeczne. Bieżąca polityka mnie nie interesuje, co nie znaczy, że nie oceniam różnych podejmowanych działań. Historia i geografia to na pewno moje pasje i obie z powodzeniem staram się zaszczepić moim dzieciom.

Kiedy myślę czasem o tych dwudziestu dwóch latach dyrektorowania w szkole, to z satysfakcją stwierdzam, że zawsze miałem dobre relacje z Urzędem Gminy. Zaczynałem, gdy wójtem był pan Grzegorz Lewandowski, który rozumiał sprawy oświaty i potrzeby szkoły. Zebrał się w gminie fajny zespół ludzi, wielu z nich do dziś pracuje, z którymi wiele rzeczy można było zrobić.

Później, w 1989 roku, wójtem została Maria Jolanta Batycka-Wąsik i też łatwo było rozmawiać o potrzebach szkolnego sportu i potrzebach szkoły. Nadzór, który był nad nami, i decydenci finansowi bardzo sprzyjali oświacie. Dlatego mogliśmy stworzyć dobry zespół i nadal się rozwijać. Dziś pracuje w szkole stu trzydziestu nauczycieli i prawie siedemdziesięciu pracowników obsługi. Trzon kadry stanowią ludzie, którzy mają świetne pomysły, potrafią się w różne przedsięwzięcia bardzo angażować. Sam należę do ludzi raczej bezkonfliktowych. Staram się po prostu robić swoje i rozwiązywać problemy. I taki też jest tu zespół.

W naszej gminie jest bardzo cenne jeszcze jedno. Wspaniała współpraca wszystkich dyrektorów szkół. To się rzadko zdarza. Wszyscy nam tego zazdroszczą, o czym otwarcie mówią na wszelkiego rodzaju spotkaniach. Wszyscy się przyjaźnimy, nie ma między nami konkurencji, zawiści. Jest współpraca.

Mamy też szczęście, bo spotykamy się ze wspaniałymi rodzicami, którzy rozumieją doskonale problemy szkoły i oświaty. Wiedzą, że coś się da zrobić, a czegoś zrobić nie można. Nie znaczy to, że wśród rodziców, szczególnie nowych mieszkańców gminy, nie ma ludzi roszczeniowych, ale oni nie dominują i dlatego współpraca z Radą Rodziców układa się pomyślnie.

W pracy najważniejszy jest klimat. Bo jeśli w zespole trafi się osoba, która chce funkcjonować kosztem innych, która swoje domowe frustracje i problemy przenosi do pracy i czepia się wszystkiego i wszystkich, to zaczyna się dramat. A ja, odpukać, takiej sytuacji w tak dużym zespole nie mam i niech tak zostanie. ■

Tego

nie da się kupić



Na niewielkim podwórku u Grzegorza Kwiatkowskiego stoi piłkarska bramka. Pan Grzegorz chciałby zaszczepić wnukom miłość do ulubionej dyscypliny – piłki nożnej. W ciągu sześćdziesięciu lat życia był rolnikiem, sportowcem, strażakiem i radnym. Zna wszystkie boiska w naszej gminie i do budowy każdego przyłożył swoją rękę.



...robił to wszystko z własnej, nieprzymuszonej woli.

W środę dwudziestego pierwszego czerwca na boiskach w Nowej Woli odbyło się zakończenie sezonu piłkarskiego. Wszyscy uczestnicy imprezy, to znaczy zawodnicy różnych grup wiekowych, dzieciaki ze swoimi rodzicami, tatusiowie grający w piłkę, trenerzy, sędziowie, kibice – słowem, wielu ludzi zainteresowanych piłką nożną zgromadziło się na murawie boisk. Jedni grali w piłkę, uczestniczyli w różnych konkurencjach sportowych, inni kibicowali.

Jeden człowiek z dala od boiska zajmował się czym innym, choć jego wnukowie biegali za piłką po murawie. Grzegorz Kwiatkowski był odpowiedzialny za grilla. Pilnował paleniska, przypiekał chlebki na różnie, grillował kiełbaski i często wał oranzadą. Robił to wszystko z własnej, nieprzymuszonej woli, bo to mu sprawiało frajdę. Chciał, by przede wszystkim biorący udział w zawodach mogli po skończonych konkurencjach przyjść i zjeść coś smacznego.

Korzenie

Spotykamy się na rozmowę w domu państwa Kwiatkowskich w Podolszynie.

– Gdybyście państwo spojrzeli przez to okno, zobaczycie Nową

Wolę. Tam się urodziłem i wychowałem. Tam mieszkali moi rodzice i tam w domu akuszerka pomagała mi przyjść na świat.

W Nowej Woli mieszkalem do 1980 roku. Kiedy się ożeniłem, musiałem przenieść się do Podolszyna, bo w Nowej Woli była za dobra klasa ziemi i ówczesny pan naczelnik nie dał nam zgody na budowę domu. Po budowaliśmy się więc tutaj, naprzeciwko gospodarstwa mojego ojca chrzestnego.

Moja mama pochodzi stąd. Jej ojciec z Michałowic. Mój ojciec, Hieronim, z Nowej Woli. Z dziada pradziada byliśmy rolnikami. Gospodarstwo rodziców miało dwanaście hektarów i trzeba w nim było uprawiać wszystko. Wszystko, bo do wyżywienia była cała armia stworzenia. Dwa konie, krowy, świnie, kury, kaczki, gęsi i indyki. Specjalizowaliśmy się w uprawie warzyw, które były wywożone do Warszawy.

Gdy byłem małym chłopakiem, jeździliśmy platformą do Warszawy. Lubiłem jeździć z ojcem na zieleniak. Jechaliśmy na skróty przez Gorzkiewkę, wyjeżdżaliśmy na Okęciu i kierowaliśmy się na Banacha. Wstawał dzień i miasto dopiero się budziło do życia. Nigdy nie zapomnę tego dźwięku, tej melodii,

jaką tworzył stukot kopyt na bruku, odbijający się między blokami po obu stronach ulicy. To była niesamowita filharmonia.

Wtedy na zieleniak przy Banacha panowała zasada, że rolnik jako producent wjeżdżał na plac około czwartej, piątej rano, a dopiero o siódmej wpuszczano na bazar kupców. Zaczynał się targ, a jeśli czegoś się nie sprzedawało, to woziło się do spółdzielni, w której po niższych, uzgodnionych cenach zbywało się resztę towaru.

Później rolników przerzucono z Banacha na targowisko przy ulicy Muszkieterów i Krakowiaków na Okęciu.

Jak już sam zacząłem jeździć na zieleniak, z pęczkami koperku i marchewki, to bardzo lubiłem robić pęczki. Marchewkę w pęczku układało się na przemian i wiązało nie sznurkiem, tylko zmoczonym sianem. Pęczki były piękne, bo marchewki były tak układane, jakby jedną dłoń nałożył na drugą w ten sposób, żeby palce nie nachodziły na siebie. Jak się na resorowanej platformie ułożyło pęczki, to wyglądały tak, jakby je ktoś narysował.

Teraz już niewielu tak potrafi. Niewielu też potrafi siać z płachty czy z miednicy, a dawniej potrafił

każdy. Niewielu wie, że siejąc z płachty, trzeba chodzić tak, jak na musztrze wojskowej.

Jak była w wojsku nauka chodzenia, to kapral zawsze mówił: „Słuchaj chłopie, idziemy siano, słoma, siano, słoma...”. Pamiętam, bo chodziłem zawsze w trzeciej czwórce, że jak któryś przede mną pomylił „siano ze słomą”, czyli nagle zmienił krok, to ja waliłem czubem buta w jego podeszwę, a on swoim kolaniem w brodę.

Dzieciństwo

– Dajmy spokój wojsku. Najpierw trzeba było przecież zaliczyć dzieciństwo. Było nas czterech braci, a ja byłem najszcuplejszy. Bracia mocniejsi ode mnie szli w pole pomagać rodzicom, a ja zawsze kręciłem się koło mamy i dostawałem lżejszą robotę. Pomagałem robić kłuski, nakrywać do stołu, podawać, przynosić.

Kiedy byłem w pierwszej klasie, brałem pod pachę wielki elementarz, dostawałem na dwumetrowych postronkach dwie krowy i na szerokiej miedzy je wypasałem. Rodzice z motykami w polu obdzyabowali kartofle lub warzywa i od czasu do czasu patrzyli na miedzę.

To było strasznie nudne zajęcie, więc człowiek chciał, żeby te krowy jak najszybciej się najadły, czyli doszły do końca wyznaczonego odcinka. Dlatego czasami, gdy ojciec nie patrzył, lekko kopałem w nogę jedną czy drugą krowę, żeby poszła do przodu. I to była metoda bardzo skuteczna, bo krowy przesuwały się szybko, ale ojciec nabrać się nie dał.

Spojrzał i mówił: „Jeszcze nie- napasione. Zaczynaj no od początku”. I musiałem wracać tam, skąd zaczynałem. Czas uciekał i z łowienia ryb, na które miałem się wybrać na duży staw w Nowej Woli, nici. Takie to było dzieciństwo.

W podstawówce byłem w harcerstwie i ten okres bardzo miłe wspominam, bo jeździliśmy na obozy. Wtedy złapałem takiego społecznikowskiego bakcyła. Jak miałem



fot. z archiwum prywatnego Grzegorza Kwiatkowskiego

*...żeby być strażakiem,
trzeba to czuć.*



dwanaście czy trzynaście lat i byłem w ósmej klasie, założono u nas koło ZMW. Widzieli, że się kręcę wokół strażaków, więc choć byli ode mnie starsi, namówili mnie, bym wstąpił do ZMW.

To też był fajny okres w życiu. Chodziliśmy na potańcówki, które organizowało koło, dziewczyny uczyły nas tańczyć, zaczął się czas integracji. Przez kilka lat, w okresie transformacji byłem przewodniczącym koła. Odnalazłem w albumie swoje stare zdjęcie. Ja z wielką torbą stoję na ulicy Grójeckiej w Warszawie. Przypominałem sobie, że tam był duży sklep sportowy i kupiłem w nim siatki na bramki piłkarskie. Właśnie niosłem je w tej torbie.

OSP w Nowej Woli

– Wszystko to działo się wokół OSP w Nowej Woli, bo tam była świetlica i pierwszy postawiony w latach 70. murowany garaż dla jedyne go strażackiego wozu – Stara 25.

Wujek mojego ojca, śp. Stefan Kopyra, w 1927 roku był jednym z założycieli Ochotniczej Straży Pożarnej w Nowej Woli. Tej jednostki, która teraz obchodzi dziewięćdziesięciolecie istnienia. Fundatorem terenu pod straż był brat wspomnianej przeze mnie akuszerki, Piotr

Styczek. Było tam kilku innych wspaniałych ludzi, między innymi Czesiek Radomski, Kazimierz Laskus i inni, którzy tworzyli zarząd.

Wtedy nie było tak jak teraz, że wszystko odbywało się na zasadzie demokratycznego głosowania. Tam była ustalona hierarchia i wielki szacunek do drugiego człowieka. Zarząd to był Zarząd przez duże „Z”.

Żeby być strażakiem, trzeba to czuć. Z tym trzeba się urodzić, bo tego nie można się nauczyć. Akcje, w których biorą udział strażacy, wymuszają koleżeństwo, odpowiedzialność za drugiego człowieka, współdziałanie.

W OSP było nas trzech. Mój starszy brat, ja i brat najmłodszy. Pamiętam, że od 1974 do 1986 roku prezesem naszej straży był były prezes PZU w Piasecznie śp. Stefan Markiewicz. Załatwił nam w Konstancinie Jeziornie stary blok do rozbiórki. Przez jedno lato i zimę rozbieraliśmy ten budynek cegła po cegle, materiał rozbiórkowy zwoziiliśmy ciągnikami do straży w Nowej Woli i budowaliśmy strażnicę.

Organizowaliśmy zabawy, żeby zbierać pieniądze na budowę świetlicy. W piątki braliśmy wozy konne załadowane klatkami na owoce i warzywa, rozdzielaliśmy się

po trzech strażaków na jeden wóz, jeździliśmy po okolicznych miejscowościach i zbieraliśmy fanty. Ktoś dał kurę, ktoś inny jakąś ozdobną karafkę czy jakieś rzeczy u niego zbędne, a w innym gospodarstwie przydatne. Przez sobotę robiliśmy losy i w niedzielę była potańcówka i loteria. Tak zbieraliśmy pieniądze na wykończenie świetlicy.

To była wspaniała forma integracji i nauka szacunku dla drugiego człowieka. To była też ogromna satysfakcja, bo wszystko robiliśmy naszymi rękami.

Pamiętam, jak zmarły w ubiegłym roku komendant naszej straży, Ryszard Perzyna zwoływał zbiórki na godzinę szóstą rano w niedzielę. Przychodziliśmy porządkować sprzęt po akcjach, sprzątać w garażu, czyścić samochód i teren straży. Uczyliśmy się wszystkiego od podstaw. Robiliśmy to dla siebie i dla ludzi. To było społecznikostwo, którego się w straży uczyliśmy. Nawet kiedy nas nie wzywało wycie syreny, zawsze byliśmy grupą.

Piłka nożna

– Z zawodu jestem metalowcem. Do pracy jeździłem do Warszawy. W tej wspomnianej wyżej torbie wziłem ze sobą siatki, buty, bo po

pracy byłem kapitanem drużyny piłkarskiej w Nowej Woli. Mieliliśmy w drużynie trzech braci Skalskich i z nimi miałem największy problem, bo mieli tak duże stopy, że nie mogłem znaleźć dla nich odpowiedniego numeru butów piłkarskich. Mówię wam, że jak by poszli na bagna, to by ich bagno nie wciągnęło. Takie mieli duże stopy.

Z tym siatami i butami dygałem do pociągu, potem do Nowej Iwicznej, potem rowerem do domu i z domu na boisko.

Żeby w tamtych czasach zagrać w piłkę nożną, to też trzeba było nie lada sztuki. Mecze odbywały się w niedzielę. Pamiętam, w drużynie naszego LZS Nowa Wola grali trzej bracia Skalscy, Cholewa z Zamienia, Rysiek Rechlicz z Nowej Woli, bracia Radcy ze Zgorzały – chłopcy rosłe jak świece. Osiągnęliśmy wtedy największy sukces. Dostaliśmy się do A klasy.

Aby dostać się do drużyny, trzeba było cierpliwie na klęczkach czekać za bramką i tylko się patrzyło, czy może któryś się zmęczy i wypadnie. Czy jakaś, nie daj Boże, kontuzja wyeliminuje zawodnika z gry i będzie można go zastąpić. A może któryś po zabawie poprzedniego dnia przyjdzie nie w formie i zwolni miejsce. Żadnego powoływania do drużyny nie było.

Raz, pamiętam, pojechaliśmy na mecz do Głoskowa i wzięli mnie do drużyny, bo im jednego brakowało. Miałem wtedy siedemnaście lat i raz w życiu sytuację, że byłem sam na sam z bramkarzem i... nie trafiłem w bramkę. Popłakałem się. Wracaliśmy z meczu, a ja jeszcze płakałem. Nie mogłem sobie tej nie wykorzystanej szansy darować.

Tak jak bracia Skalscy, tak i my we trzech graliśmy razem w drużynie. Grał mój młodszy, nieżyjący już brat Adam na bramce, ja jako napastnik na lewym skrzydle i starszy o pięć lat ode mnie Romek na obronie. To były bardzo dobre czasy dla drużyny. Jest co wspominać.

W dwutysięcznym roku po rekonstrukcji boiska w Nowej Woli składałem drużynę z chłopaków z każdej miejscowości naszej gminy. Rzuciłem hasło, przyjęło się, ale brakowało bramkarza. Znalazłem jednego rosnącego chłopaka. Pytam: „Zagrasz u nas na bramce?”, a on mi na to po namyśle odpowiada: „No, może bym i zagrał”. Jak powiedział „może”, to wiedziałem, że się do naszej drużyny nie nadaje. Nie było w nim za grosz entuzjazmu. Z niewolnika nie ma pracownika. Nie zagrał.

Mam w albumie pamiątkowe zdjęcie, jak wyświęcaliśmy pierwsze boisko w Nowej Woli. A tu, jak wyświęcaliśmy boisko w Podolszynie.

*...gdybym nie
był społecz-
nikiem, nie
zostałbym
strażakiem.*



Ze sportem jestem związany od 1975 roku. Wtedy w LZS na dobre zacząłem się nim zajmować. Boisko w Nowej Woli od zawsze było w tym miejscu, w którym jest dziś, tyle tylko, że było jeszcze większe, z ceglana bieżnią. To był teren poniemiecki, od początku przeznaczony na boisko. W pewnym okresie było to nawet pomocnicze boisko klubu Legia Warszawa.

Nie ma takiego boiska w naszej gminie, może poza boiskiem w Kosowie, które powstało w dwudziestopięcioletnim okresie mojego działania w samorządzie gminnym, by jego budowa nie była ze mną i panią wójt Marią Jolantą Batycką-Wąsik uzgadniana. Wszystkie zawierają moje pomysły konsultowane z panią wójt. Dwanaście i pół roku, do jesieni 2002 roku, byłem w zarządzie gminy.

Od jedenastu lat jestem etatowym pracownikiem gminnego Centrum Sportu. Zajmuję się konserwacją placów zabaw, terenów zielonych i boisk sportowych. Praca i doświadczenie w rolnictwie, lata praktyki dały mi wiedzę, która bardzo się w obecnej pracy przydaje. Mamy ponad dwadzieścia pięć hektarów do koszenia i pielęgnacji. Jest przy czym pracować. Teraz będziemy przeprowadzali rekonstrukcję dużego boiska w Nowej Woli.

Coś państwu powiem. Gdybym nie był społecznikiem, nie zostałbym strażakiem. Gdybym nie był strażakiem, nie nakręciłbym się na zajmowanie sportem. Jak organizowaliśmy imprezy strażackie, zawsze były w nich elementy sportowe. Jak organizowaliśmy zawody sportowe, zawsze uczestniczyła w nich OSP z Nowej Woli. Jedno wiązało się z drugim.

Jedna i druga pasja idzie razem, bo jest w człowieku. Tego się nie można wyuczyć, tego nie da się kupić. Jeżeli ktoś jest otwarty na drugiego człowieka, a nie zainteresowany tylko pieniędzmi, to będzie społecznikiem i wiele zrobi. ■

Czasem słońce, czasem deszcz



To były obchody pełną parą. Najpierw uroczysta parada strażaków przez Nową Wolę, a potem jubileuszowa uroczystość. I było tak, jak w indyjskim przeboju kinowym „Czasem słońce, czasem deszcz”.



Święty Florian, patron strażaków, zadbał o to, by podczas uroczystych obchodów pięćdziesięciolecia powstania Ochotniczej Straży Pożarnej w Nowej Woli wody nie brakowało. Najpierw przypiekało więc gorące słońce, a potem nagle przyszedł deszcz. A ponieważ woda strażakom nie straszna, dzielnie stawili czoła zacinającej ulewie, udowadniając, że niezależnie od pogody zawsze będą stali na posterunku.

„To człowiek człowiekowi najbardziej potrzebny jest do szczęścia” – powiedziała, cytując francuskiego

filozofa barona Paula Holbacha, prezes zarządu gminnego związku OSP RP w Lesznówoli – wójt gminy, Maria Jolanta Batycka-Wąsik, uznając, że te słowa najbardziej pasują do jubileuszowej uroczystości. Bo, po co jest straż? Po to, by nieść pomoc.

Kiedy więc zza chmur wyszło ponownie słońce i strażackie mundury nieco obeschły, przyszedł czas na odznaczenia tych najbardziej zasłużonych i tych najmłodszych, w których już tli się zapal. ■



Historia pewnego Stefana

Stefan łatwego życia nie miał. Zawsze był niepokorny i chciał być wolny jak mustang, dlatego często zmieniał właścicieli. Nawet śmierć zaglądała mu w oczy, gdy trafił do obcego człowieka, który sprzedawał konie do rzeźni. Ale los jak to los, nigdy nie wiadomo, co komu przyniesie. Stefanowi przygotował życiową niespodziankę. Na jego drodze stanęła Ola.

Nim opowiemy o Stefanie, najpierw musimy powiedzieć kilka słów o Oli. Ola interesuje się mitologią i kocha wszystkie zwierzęta. Właśnie skończyła czwartą klasę szkoły podstawowej i jak twierdzi z pełną powagą, w przyszłości na pewno będzie weterynarzem. Ten zawód wybrała już parę lat wcześniej, bo oprócz tego, że Ola kocha zwierzęta, chce także im pomagać i je ratować.

Dom w Łoziskach

Dom, w którym mieszka Ola, wygląda trochę jak z bajki. Pani Luiza, mama Oli, pochodzi z Sokołowa Podlaskiego. Bardzo chciała mieć dom jak kiedyś u babci na wsi, wokół którego będą kwitły malwy, pachniały jaśminy, i taki domek znalazła w Łoziskach. Pech chciał, że kiedy zgłosiła się do właściciela osiedla, wszystkie domki były już sprzedane. Nie mogła tego faktu przeboleć, tym bardziej że miała podpisywać umowę z innym deweloperem. Pół bliźniaka w Józefosławiu to nie to samo, co własny kawałek trawy z poranną rosą. Na dniach miała podpisać umowę, ale pomyślała, że jeszcze raz zadzwoni i zapyta, czy ktoś przypadkiem nie zrezygnował. Obiecali, że jak tylko ktoś się wycofa, dadzą znać.

– Umowę zakupu domu w Józefosławiu miałam podpisać w piątek, a w czwartek zadzwonił telefon – mówi pani Luiza. – Okazało się, że jakaś pani zrezygnowała i w ten sposób, rzutem na taśmę, dziesięć lat temu stałam się właścicielką tego domu. Jest wprawdzie przy ulicy, ale obsadziliśmy go drzewami i krzewami, które odgrodziły nas od niej i teraz jest bardzo przyjemnie.

Wszystko, co tu posadziłam, rosło wokół domu mojej babci. Peonie, maciejka, ostróżki, irysy. Wymarzone malwy natomiast nigdy nie urosły. Widać nie odpowiada im gliniasta ziemia. Nawet drzewa doбираłam tylko klasyczne polskie, jak na wsi podlaskiej. Mamy lipy, dęby, jesiony, akacje i brzoźowy laszek.

Ola i Stefan

Pani Luiza od czasów studenckich jeździ konno. Często przychodziła do jednego z naszych znajomych z „mojej Lesznowoli”, Ryszarda Mordzelewskiego, („moja Lesznowola” nr 1), właściciela stajni, by pojeździć konno. Z mamą przychodziła Ola, która od małego jeździła konno. I to nie na żadnym kucyku, tylko na dużym koniu.

Któregoś dnia wśród znajomych koni pojawił się nowy. Kucyk z charakterem. Jak mu się jeździć nie podobał, to bez większych ceregieli zrzucił go ze swojego grzbietu i odchodził. To był Stefan.

Trzeba powiedzieć, że gdy Ola zobaczyła Stefana, a Stefan Olę, coś między nimi zaiskrzyło. Stefan zachowywał się tak, jakby zapraszał Olę na swój grzbiet, a ona nie dała się prosić.

Przyjaźń i wspólne jazdy trwały około roku, ale zaczęły się wakacje i Ola wyjechała do babci, która mieszka w Szwecji.

Możecie wierzyć lub nie, Stefan tak tęsknił za Olą, że nikomu nie pozwolił usiąść na swoim grzbiecie. Pani Luiza wprawdzie co jakiś czas, przy okazji swoich jazd konnych, odwiedzała Stefana, ale mimo częstowania jabłuszkami, Oli mu zastąpić nie mogła.

Mieć w stajni konia, który nie pozwala się dosiadać, to nie jest dobry interes. Właściciel stajni postanowił oddać Stefana. Któregoś dnia pani Luiza zajrzała do pustego boksu. Stefan zniknął.

Ola wróciła z wakacji i chciała pierwsze kroki skierować do przyjaciela, ale dowiedziała się od mamy, że jego już w stajni nie ma. Zaczynała się szkoła, były nowe obowiązki i wydawało się, że Ola pogodzi się z losem, ale nie. Dotąd wierciła mamie dziurę w brzuchu, aż obie panie po ferii rozpoczęły intensywne poszukiwania Stefana.

– W poszukiwaniu Stefana telefonowałyśmy w różne miejsca, jeździliśmy od stajni do stajni. W końcu pojechałam do pana Ryszarda – opowiada mama – żeby dowiedzieć się, gdzie Stefan może być. Odnalazłyśmy go w miejscu, o którym szybko chciałyśmy zapomnieć. Stefan był u handlarza koni.

– Pojechałam do niego. Stał z innym koniem przywiązany do słupa i był bardzo smutny, wystraszony i przerażony – dopowiada Ola. – Mógł jak inne konie pójść do rzeźni. Wyjęłam ze skarbonki pieniądze, które dostałam z okazji pierwszej komunii, i postanowiłam konia wykupić. Trochę trwały negocjacje cenowe i handlarz w końcu zgodził się go sprzedać.

– Namawiałam ją wprawdzie – mówi mama – żebyśmy kupiły większego konia i jeździły na nim do spółki, tłumaczyłam, że to z ekonomicznego punktu widzenia będzie bardziej korzystne, ale się nie zgodziła. Kupiła Stefana.

Muszę przyznać, że się trochę tego zakupu bałam. Widziałam Stefana podczas wakacji Oli, jak zrzucił

fot. z archiwum prywatnego Luizy Woźniak



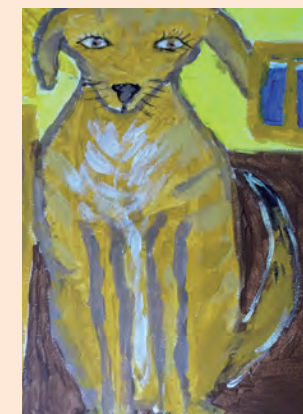
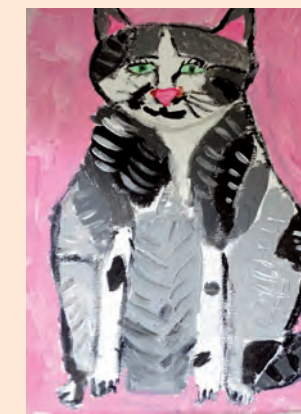
z grzbietu trenerki, i wydawało mi się, że to koń trochę szalony i nawet niebezpieczny.

Wreszcie zapytałam: „Powiedz mi, dlaczego tak bardzo uparłaś się na tego Stefana? – No, bo ja go po prostu kocham. Czy ty nie możesz tego zrozumieć? – Ale przecież wyrośniesz z niego – nie dawałam za wygraną. – No i co z tego? Będzie miał u nas dożywocie. Jest przecież moim przyjacielem”. No i mamy Stefana...

Ogródek, jak widzicie, mamy niewielki, Stefan strzyże trawę i podgryza nam krzaki. Nawet podjęliśmy próbę, aby Stefan zamieszkał w jednej z pobliskich stajni, na takich warunkach, że Stefan będzie tam pracował, a my z Olą będziemy do niego przyjeżdżały. Już nawet się umówiliśmy, ale Stefan pracy odmówił. Był psychicznie nieprzygotowany.

Nie bardzo mu odpowiadało, że nie ma własnego boksu. Dzielił go z dużym koniem. Któregoś dnia przyjechałyśmy do Stefana, a on miał cały kark przez tego konia pogryziony. Wezwaliśmy weterynarza. Po tym zdarzeniu wreszcie lasami przyprowadziłyśmy Stefana do domu. Potem jeszcze przez trzy tygodnie leczyłyśmy mu rany, a Ola cierpliwie lonżowała bo grzbiet musiał odpoczywać. Kupiłyśmy mu ciepłą przeciwdeszczową derkę, bo padały zimne deszcze, i tak Stefan wrócił do swojego ogródka.

Teraz, jak pada deszcz, Stefan przychodzi na taras. Ponieważ działka duża nie jest, wyprowadzamy Stefana na spacer. Ola jedzie na Stefanie, ja idę z psami i wszyscy są zadowoleni.



Pupil Oli

– Bardzo szybko zaakceptowały Stefana nasze suczki. Obydwie wzięłam ze schroniska, więc wiedzą, co to znaczy nie mieć domu – mówi Ola. – Na ogół niechętnie witają obcych, są nieufne, ale Stefana polubiły. Najpierw przyglądały mu się, nie podchodziły, ale teraz on wchodzi na taras i wyjada im chrupki, a one biegają do niego i wyjadają mu owies. Wodę piją z jednej miednicy.

Stefan jest bardzo towarzyski. Zagląda co chwilę przez okno, wchodzi na taras, a kilka razy nawet wszedł do mieszkania. Przyjaźni się z moimi kotkami i psami. Jak idę do szkoły, to zawsze odprowadza mnie do furtki i tam się żegnamy. Rano zawsze wita się chrząkaniem. W ten sposób wyraża swoje zadowolenie, kiedy dostaje marchewkę, i swoje niezadowolenie, kiedy marchewka się spóźnia. Tyle tylko, że to chrząkanie inaczej brzmi, gdy jest zadowolony, i inaczej, kiedy zadowolony nie jest.

Któregoś dnia poszłam do sklepu, mama podlewała kwiaty w ogródku, a Stefan był razem z psami. Drzwi na taras były otwarte. Wracam, wchodzę do mieszkania i oczom nie wierzę. Stefan stoi w pokoju przed kominem i zadowolony wyjada psom z misek chrupki. Wcale nie chciał wyjść, tak mu się spodobało. Teraz często próbuje przez werandę dostać się do środka.

Podpatrzył, jak psy drapią w drzwi tarasu, żeby wejść do domu i jak sam chce wejść, to kopytkiem w te drzwi

*...jak pada deszcz,
Stefan przychodzi na taras.*

stuka, aby go wpuścić do środka. Jeśli tylko zobaczy, że drzwi od werandy nie są domknięte, to natychmiast pyskiem próbuje otworzyć je szerzej, żeby móc wejść. Taki to z niego kanapowy kuc.

Któregoś dnia mieliśmy na grillu znajomych. Była moja koleżanka i kolega. Stefan podszedł, porwał mi karkówkę z talerza i uciekł. Byłam zdziwiona, przecież jest roślinożercą, ale z drugiej strony może chciał spróbować, co jedzą inni członkowie jego stada?

Często pytają mnie znajomi, czy mój Stefan to koń arabski, bo ma taką kształną, szczupłą głowę i w niczym nie przypomina kucyka. Odpowiadam, że to kuc walijski. Ta rasa ukształtowała się tysiące lat temu, kiedy w Wali żyły na wolności walijskie kuce górskie. Walińczycy na nie polowali. Potem udomowione krzyżowali z innymi końmi i Stefan jest przedstawicielem tej rasy. To są konie,



*...zawsze odprowadza
mnie do furtki.*



***...nikomu nie pozwolił
usiąść na swoim grzbiecie.***

które mają łagodny charakter, ale i dziki instynkt, duże oczy, małe uszy i bardzo dumnie noszą swój długi ogon.

Takiego Stefana namalowała Ola i powiesiła na ścianie, bo Ola poza miłością do zwierząt uwielbia malować. Talent odziedziczyła po dziadku. Obok Stefana wiszą portrety psa i kota, Mai i Pestki. Po tych pracach widać, że Ola ma swój styl.

Opowiedzieliśmy tę historię przyjaźni dziesięcioletniej dziewczynki i konia, bo jest ona jak bajka. Tak jak bajkowy dom Oli i jej mamy w Łoziskach. Jak dobrze, że takie bajki zdarzają się w naszej rzeczywistości. ■



Dwadzieścia sześć lat to szmat czasu. Tyle z siedemdziesięciu lat życia ksiądz kanonik Józef Jaworski spędził jako proboszcz Parafii św. Stanisława Kostki w Mrokowie.

Drugiego lipca po raz ostatni jako proboszcz odprawił mszę dziękczynną w intencji wszystkich swoich parafian. Tych z Mrokowa, Jabłonowa, Jastrzębca, Kolonii Warszawskiej, Stefanowa, Stachowa, Warszawianki, Woli Mrokowskiej... Tych wszystkich, którzy na mszę pożegnalną przybyli.

Przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Domu Księży Emerytów w Kielpinie. ■



Największe ryby to te, które urywają się z haczyka, nim je wędkarz zobaczy. Wyobraźnia ma wielkie oczy. A wyobraźnia wędkarza i myśliwego jeszcze większe. Ale osiemdziesięciokilogramowy sum Konradowi Skwarze z Łozisk z haka się nie urwał.

Taaaka ryba



fot. z archiwum prywatnego Katarzyny i Konrada Skwary

O tym, że pasjami lubi wędkować i że tej pasji pozostanie wierny, nie powiedział swojej dziewczynie ani na pierwszej, ani na drugiej randce. Przyznał się do tego, kiedy zaczęło się robić „poważnie”.

Dziś wędkują oboje i oboje biją życiowe rekordy. Na dowód pokazują zdjęcia, które potwierdzają wędkarskie opowieści. Spróbujemy zatem opowiedzieć o pasji Katarzyny i Konrada, mieszkańców Łozisk, właścicieli jedyne w Łoziskach sklepu.

Akwarium

Siadamy do rozmowy w jadalni, którą od aneksu kuchennego odgradza ścianka z wbudowanym akwariem. Tak naprawdę

inaczej być nie mogło, skoro gospodarze łowią ryby. I było tak jak w sztuce. Gdy pojawia się pistolet, wiadomo, że w czasie spektaklu wystrzeli. Skoro przed nami akwarium, wiadomo, że wcześniej, czy później będziemy o nim rozmawiali.

– Pojechaliśmy w okolice Zwierzyńca do leśniczówki Nowiny, w której pracuje mój ojciec – opowiada pani Katarzyna. – Mają tam duży staw, z którego czerpią wodę do podlewania w szkółce. Staw był kiedyś zarybiony i grasują w nim szczupaki. Byłam w pierwszych miesiącach ciąży, miałam wstręt do mięsa, więc mąż postanowił złowić mi szczupaka.

Siedziałam na wiaderku, grzałam się w słońcu, a Konrad chodził dookoła stawu i łowił. Złowił pierwszego szczupaka i puścił do stawu, bo sztuka była niewymiarowa. Niewymiarowy okazał się drugi, trzeci i czwarty. Trzy kolejne też były niewymiarowe. Wreszcie trafił się piękny, wymiarowy szczupak. Konrad triumfuje i mówi: „Zobacz, ten jest jak trzeba. – Chcesz, to go weź, ale sam

będziesz go musiał sprawić. – Ja? – To lepiej go wypuszczyć”. I szczupak powędrował do stawu.

– Pojechaliśmy do leśniczówki głównie po to, by złowić dla Kaśki rybę z naturalnego zbiornika – opowiada pan Konrad. – Chodziło o to, by to nie była ryba karmiona paszami, tylko dzika, zdrowa ryba. Pomyślałem też, że jak się trafi nieduży szczupaczek, to go wezmę do akwarium.

Duży być nie może, bo wytnie w pień wszystko, co w akwarium pływa, i sam będzie siedział jak osioł. W naszym akwarium mamy tylko ryby z naszych wód. Płotki, węgorze, dwa karpiki. Akwarium jest w trakcie odbudowy, bo kupiłem ryby na giełdzie, wpuściłem i wkrótce wszystko padło. Nie wolno kupować ryb z nieznanego źródła, bo mogą do akwarium przywlec chorobę.

Karpie do akwarium też nie są dobre, bo dla zabawy wyrwyją rośliny. Przeżyliśmy kiedyś już taki armagedon, że akwarium nie mogliśmy poznać. Jeden karp ciągnął roślinę w jedną, a drugi

w przeciwną stronę. Mieliśmy też w akwarium suma, jesiota i okonki.

W tym momencie pan Konrad wrzucił do wody kilkanaście granulek pokarmu, które spokojnie opadły na dno. – Zobaczcie, zaraz pokaże się węgorz – skupił na akwarium i granulkach naszą uwagę.

Po chwili dno się poruszyło i spod kamieni wyrzła głowa węgorza. Poczul pokarm i pokazał się w całej okazałości, choć jeszcze przed chwilą do głowy by nam nie przyszło, że tam na dnie, pod kamykami, spokojnie leży i czeka. Czatuje nie tylko na granulki. Podgryza mniejszym rybkom płetwy i ogony.

– W akwarium widzieliśmy już różne sceny. Raz mieliśmy tu okonki i ze Zwierzyńca



...próbuję być wędkarzem kompletnym.

przywiozłem małe linki. W akwarium było wówczas dużo zieleni. „Idealne warunki dla linków – pomyślałem. – Będą miały gdzie się schować”. Bardzo się pomyliłem. Okonki urządziły takie polowanko, że aż się woda gotowała. Pierwsze cztery linki zostały skonsumowane w ciągu minuty.

Marzą mi się w akwarium nasze łososiowate, ale trzeba rozwiązać problem schładzania wody.

Wędkujący mecenas

Pan Konrad jest z zawodu prawnikiem, ale to tylko informacja uzupełniająca, nie mająca większego związku z jego pasją.

Wędkarstwo zaczęło się w rodzinie od dziadka. Zresztą, może jeszcze wcześniej, ale o to pan Konrad dziadka nie pytał, tylko zapamiętał to, czego dziadek uczył. Dziadek Jerzy pasjonatem wędkowania nie był, ale lubił nowinki techniczne z wędkowaniem związane. Żeby była jasność, dziadek tak jak pan Konrad nie urodził się i nie mieszkał nad wodą. Mieszkał w Piasecznie, a ryby łowił w okolicznych stawach.

– Łowiliśmy z dziadkiem to, co w stawach było. Płotki, karasie, linki i czasem karpie. Ja na moją pierwszą spławikową wędkę bambusową. Raz trafił mi się na nią dwukilowy karp.

Potem przyszedł czas samodzielnych wakacyjnych wypraw na ryby. Głównie na jeziora mazurskie. Cały rok człowiek czekał, żeby przez dwa miesiące połowić. W arsenale sprzętu były gruntówki i spinning. To już był wyższy stopień wędkarskiego wtajemniczenia. Doszła literatura i samokształcenie.



Potem zaczęły mnie kręcić ryby drapieżne. Polowania ze spinningiem na szczupaki i sandacze. Wszystko pomału przechodziło, gdy osiągałem magiczne metry i kilogramy.

Wkrótce dokonałem odkrycia. Po studiach zobaczyłem, że wszystkie ryby można łowić na muchę. Nawet rekiny, tuńczyki i inne wielkie ryby. Zaczął się etap poważnych polowań.

Muszkarstwo

Zaglądamy do „Wiadomości wędkarskich”. Dowiadujemy się, że wędkarstwo muchowe w ostatnich latach przeżywa rozkwit. Z roku na rok przybywa w Polsce muszkarzy, czyli amatorów łowienia na przynętę pływającą po wodzie.

– Dobrze rzucać linką to jest sztuka – mówi pan Konrad. – Tu nie tyle decyduje sprzęt, choć jest ważny, ile technika rzucania. Mój instruktor, Piotr Talma, jedyny w Polsce Master Fly Casting Instructor certyfikowany przez międzynarodową organizację Federation of Fly Fishing, potrafi wziąć linkę do ręki i rzucać bez wędziska. Rzucać tak, że muszka na wodę spada w tak naturalny sposób, że ryba tylko na nią czeka.

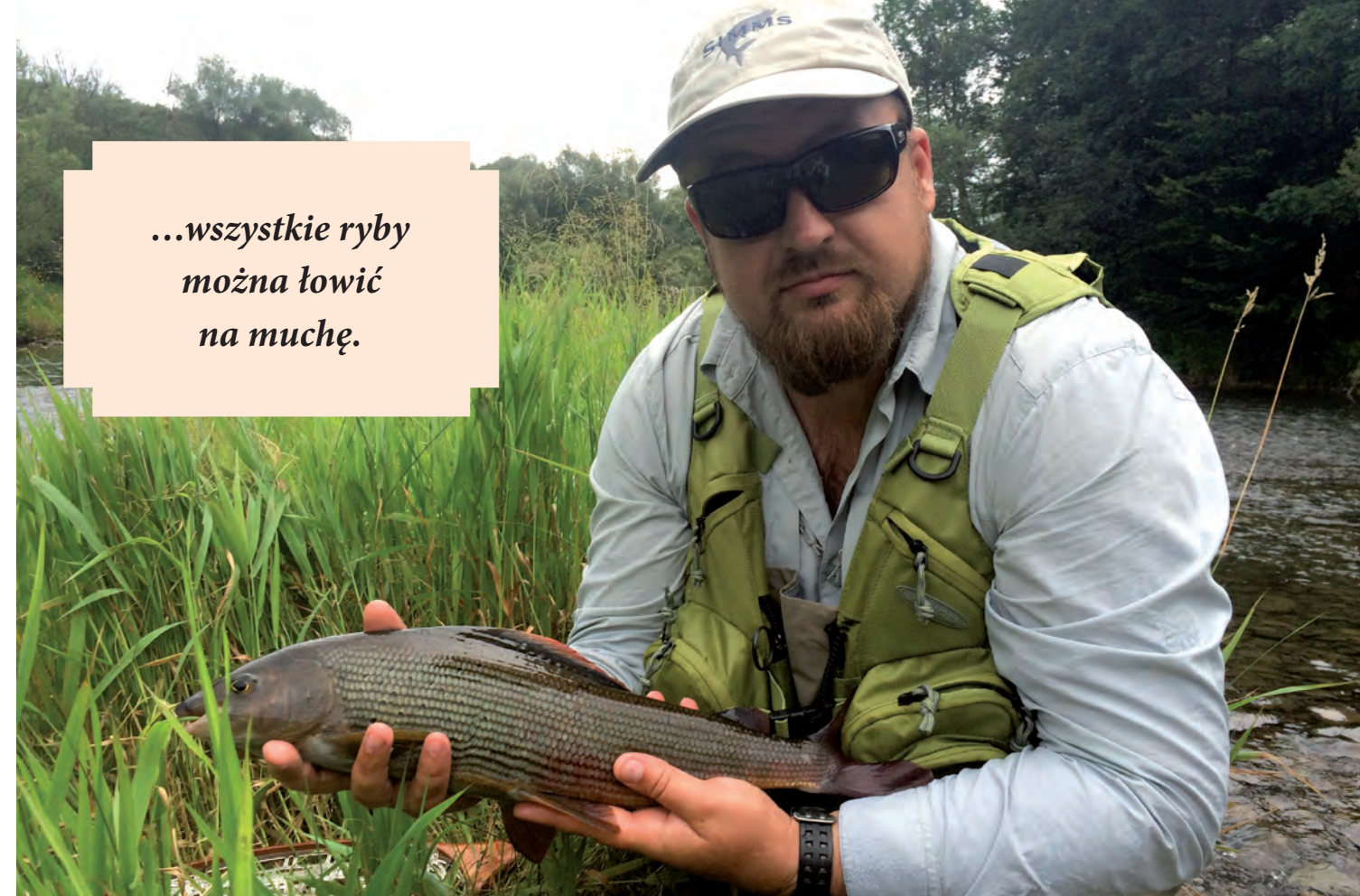
Sztuczna muszka ma być dokładnie taka, na jaką czeka ryba, bo jeśli podpłynie i zobaczy, że na przykład muszka nie ma takiego koloru za przeproszeniem dupki, jaki mieć powinna, to muszkę zostawi i odpłynie.

Bardzo często łowimy na Sanie w Bieszczadach, na odcinku, gdzie rozgrywane są mistrzostwa Polski, były kilkakrotnie rozgrywane mistrzostwa świata, więc na akwenie, którego ryby widziały już tysiące sztucznych much i są w tej materii obryte. Na byle muchę nie dadzą się nabrać.

Nim człowiek nauczy się dobrze rzucać muchą, musi przedtem zjeść beczkę soli i parę razy złapać się sam, czyli wbić sobie haczyk w głowę, ucho lub w ubranie. Wielokrotnie tego boleśnie doświadczyłem, dlatego teraz używam haczyków bez zadziorów. Zresztą, na większości łowisk są teraz takie wymagane.

Do łowienia na muchę zachęciłem się też, oglądając w internecie filmy i czytając informacje na forach internetowych. Kiedy już chciałem kupić sobie pierwszą muchówkę, przeczytałem, że jeśli

...wszystkie ryby
można łowić
na muchę.



nie nie potrafię, to nie powinienem kupować muchówki, tylko pójść do odpowiedniej szkoły. I to mnie przekonało. Razem z kolegą pojechaliśmy do Krakowa, do Szkoły Wędkarstwa Muchowego Hurch Adama Sikory, wielokrotnego medalisty zawodów muchowych, trzykrotnego mistrza świata w tej dyscyplinie. Kurs odbywał się na Sanie w miejscowości Zwierzyn.

Okazało się, że w muszkarstwie można mieć super sprzęt, mieć doskonałą technikę i nie mieć rezultatów, bo brakuje wiedzy o tym, co w wodzie w danym akwenie pływa. Można trzy dni siedzieć nad wodą i nie złapać nic, bo nie założyło się odpowiedniej muchy. Po kursie nie myślałem o niczym innym, jak o kompletowaniu sprzętu i pierwszej wyprawie. Po tygodniu byłem gotowy.

Z moim wędkarstwem jest tak, że próbuję być wędkarzem kompletnym, co wcale łatwe nie jest. Muszę mieć wszystko. Odpowiedni strój i sprzęt do łowienia na muchę, do łowienia karpia, szczupaków, sumów i tak dalej. Teraz jestem na etapie dwuręcznej wędki łososiowej, choć nie wiem jeszcze, kiedy i gdzie na łososie się wybiorę.

Na muchę próbowałem łowić wszystkie ryby, które chciały brać. Większość, łącznie z sześciokilogramowym karpem, mam zaliczone. Muchówka trzeszczała, ale się udało. Nie udało mi się do tej pory złowić na muchę sandacza i suma.

Pierwszy sprawdzian umiejętności przyszedł na Kaszubach. Pojechaliśmy z kolegami łowić pstrągi na jeziorze Piaseczno i okazało się, że na jeziorze trzeba rzucać co najmniej na odległość dwudziestu kilku metrów i tego trzeba się było nauczyć.

Mój sum

– Później bardzo mnie wciągnęło wędkarstwo sumowe. Ryby, które wcześniej łowiłem, nie były mnie w stanie zmęczyć. Sum



stanowił wyzwanie. Kilka razy na łowach byłem świadkiem złowienia na spinning suma o długości 180 cm. Po kilku wyprawach, dwa lata temu trafiłem w Wiśle suma o długości 220 cm. Zmierzony, zważony, pamiątkowe zdjęcie zrobione, buzi na pożegnanie i poszedł do wody. Ważył około osiemdziesięciu kilogramów. Walka był ciężka. Dwa razy upadłem na łódce, raz byłem bliski wypadnięcia za burtę, myślałem, że kregosłup mi nie wytrzyma i podobno byłem dla sternika nieprzyjemny, ale... radość była ogromna. We czterech podnosiliśmy suma z wody.

Podobno jak się łowi suma, to kiedy przyciągnie się go już do łódki na tyle, żeby głowa wyszła na powierzchnię, trzeba go puknąć w głowę. Wtedy sum jeszcze raz idzie pod wodę i potem daje się już wyciągnąć. Tak też zrobił i ten nasz. Gdy przyciągnąłem go do łódki, kolega klepnął go w głowę. Sum poszedł w głąb i potem spokojnie dał się doholować do łodzi i na nią wciągnąć.

To był bardzo waleczny sum, bo sumy z rzek są w innej zupełnie kondycji niż te ze stojących zbiorników. One ciągle walczą z prądem rzeki, więc mają świetną kondycję i są waleczne. To są zawodnicy pierwszej ligi.

Żona z wędką

Jak już wspomnieliśmy, pan Konrad przyznał się pani Kasi do pasji wędkowania nie od razu. Leżał w szpitalu po operacji kolana, a pani Katarzyna pracowała w szpitalu jako fizjoterapeutka. Powiedział to któregoś dnia znajomości, nie owijając niczego w bawełnę.

– „Jestem wędkarzem. Uwielbiam łowić ryby i jeśli chcesz się ze mną spotykać na poważnie, to nie możesz mnie od tej pasji odwieść. Nie możesz mi tego zabronić” – wspomina



...co zarzuciłam wędkę,
to była życiówka.



pani Katarzyna. – Przyjęłam to do wiadomości i pomyślałam, że tego wroga trzeba poznać. Albo się z nim zaprzyjaźnić, albo zaakceptować. No i zaczął mnie zabierać na ryby.

Bardzo barwnie o rybach opowiadał. Kiedy mnie wprowadzał w arkana sztuki muchowej, zadziwił mnie głęboką wiedzą. Płynęliśmy kiedyś pontonem po Narwi, a Konrad patrzy na zegarek i mówi: „O tej porze żerują sandacze. – Skąd wiesz, że sandacze? – pytam – No bo jest ich godzina, nie słyszysz tego chrupotu? Zakładamy taką przynętę, która specjalnie pracuje i wabi sandacze.

Teraz jest pora sumów. Będziemy je wabili za pomocą kwoka. Kwok to taki specjalny wabik na sumy, który przez dźwięk i ciśnieniowe fale rozchodzące się w wodzie na duże odległości sygnalizuje sumom, że na powierzchni jest okazja, by coś zjeść. Niektórzy mówią, że dźwięki kwoka naśladują pluskot skaczących żab. Tak czy inaczej, sum o tej porze zaczyna żerować”.

Potem zabierał mnie na karpie i mówił, że jestem talizmanem, bo co mnie na karpie weźmie, to łowi jesiota. Te wyjazdy były bardzo przyjemne. On łowił ryby, ja sobie rozkładałam leżaczek, czytałam, przysypiałam i wreszcie wzięłam do ręki wędkę. Poczulałam dreszczyk emocji, gdy wziął jesiota. Urwał się wprawdzie, ale coś we mnie drgnęło. Dostałam szałwiarówkę i zaczęłam u teściów nad Narwią łowić. On chodził ze spinningiem, ja łowiłam na szałwiarówkę. Spinning mnie nie kręcił, choć Konrad nauczył mnie rzucać.

Potem mąż kupił mi ekwipunek i nad Sanem zaczęła się moja edukacja w wędkarstwie muchowym. Złapałam pierwszego pstrąga i złapałam muchowego bakcyła. Powoli zaczynałam się wdrażać, jeździć na muchowe festiwale i poznawać muchowych pasjonatów.

Dostałam pierwszą wędkę zamówioną przez Konrada i wykonaną specjalnie dla mnie. Mąż nauczył mnie robienia much i wiązania przynęty. Teraz już razem kręcimy muchy.

Byłam na kilku festiwalach muchowych wędkarek, na których były same łowiące na muchy kobiety i obowiązujące hasło: „Panie do wędek, panowie do garów”. W Krościenku nad Dunajcem poruszenie. Góral nie wiedząc, że mówi do męża jednej z łowiących, opowiadał. – „Panie, idź pan zobacz. W Dunajcu sześć bab łowi na muchę. – Nie sześć, tylko osiem” – poprawił go znajomy.

Nad Dunajcem poznałam dwa rodzaje wędkarzy. Jedni wstają skoro świt i do późnej nocy katują wodę. Ja wstaję później, łowię godzinę, kładę się w krzakach na drzemkę, potem oglądam przyrodę: tu czapla szara, tu dzik, tam bóbr. Znowu trochę połowię i to jest przyjemność. Cisza, spokój, zasięgu nie ma, nikt nie dzwoni.

Na początku co zarzuciłam wędkę, to była życiówka. Mój rekord to czterdziestoseściocentymetrowy lipień. Bardzo to polubiłam. Teraz dochodzę do wniosku, że postąpiłam dobrze, gdy na wiadomość o pasji Konrada jako kandydata na męża, postanowiłam polubić jego hobby. ■



Szczęśliwy Frankfurt

W kwietniowym numerze „mojej Lesznowoli” (nr 11) przy okazji rozgrywanego w Centrum Edukacji i Sportu w Mysiadle międzynarodowego „Turnieju 100 strzał” przedstawiliśmy Czytelnikom mieszkańca Mysiadła Bogdana Mytnika, który opowiedział o Kyudo i swojej fascynacji japońskimi sztukami walki.

Dziś mamy dobrą wiadomość. Bogdan Mytnik, reprezentant klubu Tametomo z Mysiadła, na rozgrywanych w czerwcu we Frankfurcie nad Menem mistrzostwach Europy w Kyudo (Kyudo European Masters 2017) zajął drugie miejsce.

Przypomnijmy. Kyudo to jedna z najstarszych sztuk walki i jedno z ważniejszych dziedzictw kultury Japonii. W tej sztuce mieszkańiec naszej gminy był drugi w Europie! Pierwsze miejsce zajęła reprezentantka Niemiec Jenni Zimmer. W mistrzostwach startowały dwadzieścia dwie drużyny z szesnastu krajów. Panu Bogdanowi gratulujemy. ■



fot. Krzysztof Haczek



Salomonowa mądrość



„Jesteśmy tu jako wasi przyjaciele, żeby podziękować Wam za służbę dla wspólnego dobra” – powiedział proboszcz Parafii Matki Bożej Różańcowej w Piasecznie, ks. prałat Zbigniew Pruchnicki, rozpoczynając na błoniach przed Urzędem Gminy w Lesznowoli mszę połową podczas obchodzonego 15 lipca święta policji.

Powiedział też, że podczas mszy jej uczestnicy będą się modlili o „salomonową mądrość” policji. Żeby umiała rozróżniać dobro i zło. Żeby nie zabrakło jej męstwa, wielkiego ducha, dobroci, solidnych przyjaciół i radości z wybranej drogi życia.

Były podziękowania, odznaczenia i awanse. Były kwiaty i gratulacje. Miasteczko policyjne, ukazujące pracę policji, atrakcje dla dzieci i koncerty. ■

Garażówka pełna skarbów



fot. z archiwum organizatorów

Zasada jest prosta. Zajrzyj do garażu, na strych i do piwnicy. Pozbądź się rzeczy, które mogą przydać się innym. Tu możesz sprzedać lub wymienić wszystko: ubrania, książki, zabawki, płyty dvd i różnego rodzaju sprzęty. A potem weź koc lub stolik i zaaranżuj własne stoisko. Liczą się dobre chęci i miła atmosfera.



Masz zdolności kulinarne? Pochwal się nimi. Upiecz ciasto lub babeczki, zrób pyszną lemoniadę. Sąsiedzi na pewno to docenią. Możesz też wystawić na sprzedaż własną twórczość artystyczną: misternie wykonane bransoletki lub obrazy. Wstęp jest wolny i darmowy. Baw się dobrze!



W Nowej Iwicznej po raz piąty odbyła się „iwiGarażówka”, czyli sąsiedzka wymiana skarbów wszelakich. Skarbów była cała kopalnia. Walizki, ubrania, dziecięce buty i czapki, mosiężne przedmioty i pluszowe misie, książki dla dzieci i dla dorosłych, zabawki, rowery i rowerki, maskotki, grzechotki i filmy dvd, a dla wzmocnienia między innymi słodkie brownie, mini murzynki z truskawkami i orzechowa tarta z czerwoną cebulą, burakami, kozim serem i tymiankiem.



Miejsce na garażówkę i dobrą atmosferę zapewнили mieszkańcy osiedla „Nasza Chata”, a na pomysł wpadli Izabela Szymczak, Anna Rodak-Wilińska i radny płk Krzysztof Klimaszewski.

Dzień był słoneczny, a „iwiGarażówka” po raz kolejny okazała się fajną imprezą. W końcu każdy ma w sobie instynkt poszukiwacza skarbów. ■

PAN POMIDOR

Zielone, żółte i czerwone, ale też mahoniowe, malinoworóżowe, pomarańczowe i brązowe. Duże i całkiem małe. Pełne smakowitego soku i te z większą ilością miąższu. Te, które rosną na karłowatych krzaczkach i te, które pną się wysoko ku górze. Te pierwsze, które dojrzewają wcześniej, i te drugie, na które trzeba trochę poczekać. Te całkiem okrągłe, te podłużne, i te przepysznie nieregularne. Zanim powiemy „Addio pomidory”, teraz przez najbliższe tygodnie możemy się nimi nacieszyć.

Smakosze twierdzą, że nie ma nic lepszego niż świeża bagietka z masłem i pachnący, dojrzały pomidor. Smakosze też dobrze wiedzą, że pomidor pomidorowi nierówny, a już te kupione zimą w delikatesach niewiele mają wspólnego z tymi, które dojrzewają w promieniach letniego słońca. Dziś kilka przepisów na dania z prawdziwych pomidorów. Tych, które pachną latem.



GAZPACHO

SKŁADNIKI

400 ml bulionu warzywnego, 450 g pomidorów, pół świeżego ogórka, 3 ząbki czosnku, 1 czerwona papryka, 1 cebula, 1 papryka, 1 łyżka octu winnego, 2 łyżki oliwy z oliwek, 3 łyżki koncentratu pomidorowego, sól, pieprz

Ugotuj bulion warzywny i przestudź. Sparz pomidory, usuń skórę, pestki, pokrój miąższ. Obierz i posiekaj ogórka, cebulkę i czosnek. Z papryki wydrąż gniazda nasienne i pokrój. Wrzuć wszystko do miksera. Dodaj oliwę, ocet winny, koncentrat pomidorowy i chłodny bulion. Wszystko zmiksuj. Dopraw do smaku solą i pieprzem. Wstaw do lodówki na kilka godzin. Podawaj chłodny.



BRUSCHETTA

SKŁADNIKI

kilka dojrzałych pomidorów różnych gatunków, bagietka (może też być dobry chleb), ząbek czosnku, dobra oliwa, sól, pieprz, pęczek świeżej bazylii, ocet z białego wina lub ocet ziołowy

Bagietkę (lub chleb) pokrój na kromki i opiecz na ruszcie (ewentualnie na patelni do grillowania) aż będą chrupkie i rumiane. Potem natrzyj je lekko przekrojonym zębkiem czosnku i skrop oliwą. Pomidory oczyść z pestek, szypulek, a miąższ pokrój w drobną kostkę. Wrzuć do miski, przypraw solą i pieprzem, dodaj porwane listki bazylii, dodaj oliwę i ocet według uznania. Dokładnie wymieszaj. Nakładaj na ciepłe kromki.

TARTA FRANCUSKA Z POMIDORAMI

SKŁADNIKI

opakowanie ciasta francuskiego, 2-3 łyżki musztardy Dijon, 2 łyżki posiekanej natki pietruszki, 2-3 zębki czosnku, 100 g startego ostrego żółtego sera, łyżka oregano (może być suszone), 4 łyżki oliwy extra virgin, 3 duże dojrzałe pomidory pokrojone w plastry grubości 1 cm

Ciasto rozwałkuj i przełóż do formy o średnicy 23-25 cm. Posmaruj musztardą, posyp serem i ułóż pomidory tak, by zachodziły na siebie jak dachówka. Jeśli pomidory są bardzo soczyste, możesz odlać nadmiar soku lub usunąć część gniazd nasiennych. Formę wstaw do piekarnika nagrzanego do 200 stopni i piecz aż ciasto wyrośnie, ser się roztopi, pomidory przypieką (ok. 20 minut).

SUSZONE POMIDORY W STYLU GRECKIM, CZYLI LATO W SŁOIKU

SKŁADNIKI

3 kg pomidorów (najlepiej Lima – małe i podłużne z niewielką ilością pestek), 3 główki czosnku, 2 opakowania sera feta, 200 g czarnych oliwek, 1/2 litra oliwy z oliwek, sól morską, przyprawa grecka (mieszanka)

Pomidory umyj, przekrój i wydrąż pestki. Ułóż na blasze na papierze do pieczenia. Wstaw do piekarnika na 8-10 godzin (najlepiej od razu kilka blach) i piecz w temperaturze 80-100 stopni. Kiedy pomidory będą gotowe (muszą suszyć się powoli), zagrzej oliwę. Powinna być gorąca, ale nie wrząca. Do każdego słoika na dno wsyp szczyptę soli, dodaj pół łyżeczki greckiej przyprawy i włóż pomidory. Układaj je partiami, dodając kawałki sera feta, kilka czarnych oliwek, 2 zębki czosnku. Oprósz wszystko jeszcze raz szczyptą soli i zalej gorącą oliwą. Zakręć słoik i odstaw do wystygnięcia do góry dnem. Przechowuj w lodówce.



RATATOUILLE

SKŁADNIKI

1 papryka czerwona, 1 papryka żółta, 1 cukinia, 1 bakłażan, 4 pomidory, 2 cebule, ząbek czosnku, kilka listków bazylii, dobra oliwa i zioła (tymianek, rozmaryn, estragon, zioła prowansalskie)

Pomidory sparz we wrzątku i obierz ze skóry. Pokrój w kostkę. Pokrój w kostkę również cebule i papryki. Bakłażana pokrój w grube krążki, posyp solą i odstaw na kilka minut. Ręcznikiem papierowym zbierz puszczone przez niego sok. Potem każdy z krążków podziel na cztery lub dwie części. Cukinię pokrój w kawałki. Na odrobinie oliwy przesmaż rozgnieciony czosnek, dodaj pokrojoną paprykę, bakłażana i cukinię. Lekko podsmaż. Odłóż na bok. Na patelnię przełóż pomidory i duś około 5 minut na wolnym ogniu, aż pomidory się rozgotują i odparują. Do pomidorów dodaj podsmażone warzywa. Podgrzej. Na koniec dodaj posiekaną bazylię. Dopraw świeżo zmielonym pieprzem i ziołami. Duś aż warzywa będą miękkie.

Myśl o białym domku

*„Chciałbym mieć taki domek,
taki domek mały i cichy,
w którym by się błękały
na oknach kwiatów kielichy...”*

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

